

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA NAJMŁODSZYCH



Mały
STER

KRAKÓW * ROK SZKOLNY 1942/43 * NR 5

W MARCU jak w garncu

Usiadł dziadus przy oknie, opatula kocem chore nogi i patrzy na świat.

— Może Ania wróci niedługo ze szkoły — myśli.

Ledwo pomyślał, a tu w korytarzu: tupu, tup, tup, tup... Szuru, szuru, szur, szur... Ktoś wyciera nogi.

— To Ania! To na pewno Ania.

A ta Ania, zuch dziewczynka, otrzepuje przedziutko na słomiance butki. Brudny, z błotem zmieszany śnieg opada. Za chwilę wbiega do pokoju.

— Dzień dobry, dziadusi — woła. — Jak dzisiaj ślicznie! Słonko świeci, śnieg topnieje. Na prawdę zaczyna się wiosna. Uf, jak gorąco.

Ucałował dziadus zarumienione liczko Ani, patrzy na jej wesołe oczka i mówi:

— Tak, piękny mamy dzień. Lecz choć słoneczny i ciepły, zimy jeszcze nie pokona. Ooo, jeszcze nie raz i nie dwa zmarznie w marcu panna Anna.

Ale Ania nie da sobie tego powiedzieć.

— Dziadusi, przecież jest tak gorąco, szczególnie gdy się biega. I wietrzyk taki ciepły. A pani powiedziała, że na świętego Grzegorza idzie zima do morza. A dzisiaj już po Grzegorzcu. I pani znalazła wczoraj w lasku cudne śnieżyczki i kilka niebiesko-fiołkowych przyłasczek. Zobaczysz dziadusi i ja tobie po południu przyniosę. Uzbieram cały, cały pęczek. Eee, dziadus to z tą zimą tylko żartuje...

Trzepie Ania i trzepie, buzia jej się nie zamyka. Lecz dziadzio lubi jej szczebiotanie, bo mu się zdaje, że wiosenka nie za oknem, ale tu do niego przyszła.

Naopowiadała Ania dużo. Pokręciła się po pokoju. Otuliła lepiej dziadusiowe nogi i frrr... już jej nie ma.

Biegnie razem z koleżankami do lasku. O, tam niedaleczko. W lesie leży jeszcze trochę śniegu, lecz gdzieś niedługo już się trawka zieleni.

— Kto pierwszy znajdzie śnieżyczki? — woła Ania.

Zosia i Krysia już mają kilka. Ale i Ania zrywa to tu, to tam. Po chwili trzyma spory bukiet w ręku.

— Jak się dziadus ucieszy — myśli. — Biedny ma bezwładne nogi, nie może sobie sam nazrywać. Nazbieram jeszcze więcej, jeszcze więcej.

Zbierają dziewczynki, zbierają, śpiewają i pokrzykują. W końcu biegną do domu.

Ania znowu w korytarzu wyciera buciki. Znowu szur, szur i tup, tup. Potem wsuwa się do pokoju. A dziadus drzemie. Podchodzi do niego na palcach i kładzie bukiet na kolanach.

Oj, co to była za radość, jak się dziadus przebudził. Co za radość!

— Włożę je do szklanki — mówi Ania. — Codziennie świeżych przyniosę. Bo to już wiosna i dziadusiowi będzie wesoło. Jak zakwitną inne kwiatki, nowych nazrywam.

Wieczorem usnęła Ania z uśmiechem na ustach. Ciągłe pachniały jej śnieżyczki i słonko mocno przygrzewało...

Jakie też było zdumienie, gdy nazajutrz za oknem, zamiast słońca, zobaczyła nowy kożuch śnieżny.

Tylko białe śnieżyczki w wazonku przypominały wczorajszy prawie że wiosenny dzień.



— A dzień dobry, panie gilu!
 — Jak się mają dzieci?
 — Czy pan gil tu śpiewać przyszedł?
 — Czy zamiatać śmieci?

— Pan gil piękny ma tułubek,
 Czerwony aż miło!
 I nas mama otuliła,
 Żeby ciepło było.

— Pan gil może nie wie o tym,
 Że nam Bóg dał mamę?
 Ale teraz leży chora,
 Więc pracujem same!

— To jest moja siostra Basia,
 A ja Małgorzatka,
 To jest nasza stara miotła,
 A to nasza chatka!

— Chatka musi być chędogą,
 Nie zasnuta śmieciem!
 No, frr... teraz, panie gilu,
 Bo miotłą wymieciem!

WIŚNIE PRZY DRODZE

Tuż obok Wólki wybudowano nową drogę. Równą, prostą, jak stół gładką. Dwa lata budowano tę drogę, zanim ją skończono. A po obu stronach drogi posadzono z końcem marca młode drzewka wiśniowe.

Stoją drzewiny równo w rzędzie. Korzeniami czepiają się nowego miejsca. Gałązkami kręcą na lewo, na prawo, jakby się rozglądały.

Szumi jedna wiśnia:

— Będę prędko rosta. Mało tu wisien po sadach. Będę ludziom dawała moje smaczne owoce.

Szumi druga wiśnia:

— Będę prędko rosta. Szeroko rozłożę gałązki. Będą w moim cieniu odpoczywali ludzie. Będzie lżej iść w upał do miasta.

— Tak, tak — szumią inne drzewka. — Będziemy rosły na pożytek ludziom i na radość.

Koło tej drogi orał jednego dnia parobek. Złamała mu się rączka od skrobaczki. Wtedy ściał kozikiem najbliższą wiśnię i na nowo skrobaczkę osadził. Potem orał dalej. Ani się obejrzał.

Na drugi dzień gęsiarka pędziła tamtędy gęsi. Nie bardzo jej słuchały. Więc nadłamała wiśniowe drzewko, żeby mieć gałąź na gęsi.

I poszła dalej. Ani się obejrzała.

W targowy dzień wracał chłopak z miasta. Kupił na targu nowy kozik. Próbował, czy ostry. Na czym? Na wiśniach przydrożnych. Tę przyciął, tamtej szmat kory odrapał.

Ani pomyślał, że drzewko skaleczone uschnie.

Biedne wiśnie. Miały rosnąć na pożytek i radość ludziom. Co teraz będzie?

J. Duszyńska

WRÓBELEK

Manusia lubi zimę i biały puszysty śnieg. Ale Manusia mieszka w dużym mieście, we Lwowie. We Lwowie dozorca domów zmiatają z ulic śnieg i posypują chodniki piaskiem. Gdy Manusia chce lepić bałwana, albo jeździć na sankach, idzie z mamusią do Stryjeńskiego Parku. Tam jest pełno ślicznego, bielusińskiego śniegu i mnóstwo koleżanek. Toteż mogą się razem z mamusią bawić do woli.

Pewnego dnia Manusia z mamusią bardzo się zgrzały i zmęczyły wojną na śnieżki. Zaciągnęły więc sanki między krzaki i usiadły na nich, by odpocząć. Nagle Mamusia dosłyszała za sobą cichutki pisk.

— O, mamuś, coś piszczy, słyszysz?

Mamusia posłuchała uważnie i zaczęła szukać w krzakach. I znalazła...

Zgadnijcie, co?

Oto zwykłego, szarego wróbelka, na pół przysypanego śniegiem. Biedna ptaszyna skostniała już z zimna i ledwie poruszała sztywnymi nóżkami.

Manusia wzięła wróbelka w rączki i próbowała go ogrzać chuchaniem. Ale to nic nie pomogło. Wsunęła więc wróbelka do zarękawka i zabrała do domu.

W domu okazało się, że ptaszek był nie tylko zmarznięty, ale miał też zwichnięte skrzydełko. Tatusz nastawił mu je ostrożnie.

Manusia tymczasem urządziła wróbelkowi łóżeczko. Opróżniła swój koszyczek do robót, wyścieliła kołderką lalki. Ostrożnie ułożyła w nim wróbelka i postawiła przy piecu.

Początkowo zaglądała do koszyczka co chwile, ale wróbelek siedział cichutko skulony i drżący. Potem zabrała się do odrabiania lekcji i zapomniiała o wróbelku.

Dopiero po kolacji mamusia zapytała:

— Co tam porabia twój wróbelk, Maniusiu?

Manusia zerwała się i pobiegła do koszyczka. I jakże się przeraziła! Wróbelka nie było.

Zaczął się szukanie.

Szukano i na szafie, i na łóżku, i pod łóżkiem, a tatuś nawet zajrzał na piec. Ale wróbelk znikł. Wreszcie dostrzegła go na ramie okiennej i zawołała ze zdumieniem:

— Jest, jest! Patrz, mamuś, on nie ma głowy!

Tatusz i mamusia zaczęli się śmiać i wytłumaczyli Manusi, że ptaszki do spania chowają głowę pod skrzydełko. Potem zostawili wróbelka na oknie. Skoro mu tam dobrze, niech tam śpi.

Nazajutrz rano, gdy zapalono światło, wróbelk zbudził się. Wyglądał już trochę weselej, a nawet zaczął skakać po pokoju.

Manusia nasypała mu okruszek na stół, ale długo nie chciał tam usiąść. Dopiero gdy wszyscy wyszli z pokoju, a Manusia usiadła cichutko w kątku, wróbelk przyleciał na stół i dziob... dziob... dziobał okruszki. W końcu wskoczył na większy kawałek chleba, oddziobał kawałtka i zaniósł je na piec.

Manusię cieszyło bardzo zadomowienie się wróbelka. Była już pewna, że wróbelk zostanie u niej na zawsze. Ale mamusia powiedziała:

— Pomyśl, Maniusiu, czy byłoby ci przyjemnie siedzieć cały dzień w pokoju bez koleżanek? Wróbelk też chce sobie polatać po parku i poskakać po śniegu z innymi wróbelkami. A jeżeli uważasz, że mu na wolności będzie trudno o pożywienie, to możemy wykładać mu okruszynki na parapet okna.

Manusia przyznała rację mamusi

i gdy wróbelek już całkiem wydobrzał, otworzyła okno i wypuściła go na dwór. Było jej troszkę smutno, ale pocieszyła się myślą, że spotka wróbelka w parku.

— Prawda, mamuś — powiedziała poważnie — przecież wróbelek nigdy nie poleci ze Lwowa, bo tu jest najlepiej na całym świecie? I zawsze go będę mogła gdzieś zobaczyć.

Wróbelek nie zawiódł nadziei Maniusi. Nie tylko, że nie odleciał ze Lwowa, ale co dzień odwiedzał jej okno i zjadał wszystkie wyłożone dla niego smakołyki.

Tymczasem na świecie pocięłało.

Zniknęły śniegi. Ciepłe wiatry osuszyły ziemię. Słońko coraz bardziej zaczęło przygrzewać. I oto pewnego razu przywołało Maniusię do okna wesołe ćwierkanie.

Na otwartym lufciku siedział Maniusi wróbelek, a po parapecie skakała małeńka, okrągła wróbliczka.

— Widzisz, Maniusiu, twój wróbelek przyleciał przedstawić ci swoją towarzyszkę — rzekła mamusia.

— Ja już wiem! — zawołała wesoło Manusia. — Teraz jest wiosna i teraz pan wróbel i pani wróblowa budować będą sobie gniazdeczko.

M. J.



Dzieci:

Przeszła zima pomalutku.
Witaj, boćku, krasnobutku!
Gdzieś ty bywał? Gdzie?

Bociek:

Za górami i za morzem
ukrywałem się przed mrozem.
Kle... kle... kle... kle... kle...

Dzieci:

A w stodole miejsca dosyć,
mogłeś się i do nas wprosić,
Myśmy ziarnem, głogiem, kaszą,
przekarmili tyle ptasząt.

Bociek:

Z bocianami trudna rada,
przecie bocian kasz nie jada,
ani jagód, nie!

Dzieci:

A co jecie?

Bociek:

Żaby przecie!

Skądże w zimie żab weźmiecie?
Kle... kle... kle... kle... kle...

Dzieci:

Boćku, powiedz jeszcze o tym,
jak trafiłeś tu z powrotem?

Bociek:

Gdym jesienią odlatywał
upuszczałem piórka siwe,
upuszczałem siwe pióra
po dolinach i po górach
znacząc drogi swe.
A choć piórka wiatrem zwiąło,
serce drogę pokazało.
Kle... kle... kle... kle... kle...

J. Duszyńska

BŁOTO

W marcu, jak to w marcu, więcej było mrozu i śniegu, niż odwilży. Dopiero pod koniec miesiąca przyszła prawdziwa wiosna. Śnieg roztopił się i spływał do rzeki. Na drodze stały kałuże brudnej wody. Od chaty do chaty ludzie i konie człapali w błocie. W kwietniu, ledwie zaczęło podsychać, spadł nowy śnieg. Nie długo leżał, może dzień, może tylko pół. Ale po nim zostało nowe błoto. Grzęzły w nim wozy, woda wlewała się do butów.

Największe błoto było przed szkołą. Dzieci przychodziły w przemoczonych butach. Wnosiły ze sobą do klas mnóstwo błota. Podłoga była wiecznie mokra i brudna. Postawiono przed szkołą żelazne skrobaczki i kratę, ale nie na długo starczyły. Nim wszystkie dzieci wytarły sobie nogi, krata była po brzegi wypełniona błotem. A na butach i tak czaiło się błoto i wchodziło z dziećmi do klasy. Było wszędzie. Na podłodze i na ławkach,

na butach i w butach, na płaszczach, spódnicach, chustkach i pończochach. A najgorsze było to, że błoto było mokre. Dzieci przeziębiały się, siedząc z mokrymi nogami. Podłoga gniła pod wodą.

Trzeba było koniecznie wygnać ze szkoły błoto.

Próbowano tak, próbowano inaczej.

Wreszcie dzieci uradziły, że trzeba przed szkołą zrobić chodnik. Łatwo było powiedzieć, trudniej wykonać.

Starsze klasy przyszły po południu z szuflami, łopatami i miotłami. Zgarnęły, wymiotły całe błoto do rowu. Na drugi dzień zajechał przed szkołę rząd tacek pełnych kamieni i cegieł. Gdzie co kto miał na podwórzu, czy śmietnisku, zwoził przed szkołę. Dziewczęta znosiły po kilka kamieni w wiadrach i koszykach, aż się tego nazbierała spora górka.

Na trzeci dzień dzieci zaczęły układać chodnik. Za poradą pana kierow-



nika wysypały najpierw żwirem i tłuczoną cegłą ścieżkę od schodów do bramki. Na to dopiero przyszły większe kamienie. Praca szła żwawo, bo robotników było wielu i pracowali z ochotą. Do wieczora gotów był chodnik przez szkolne podwórze.

Zostało jeszcze trochę kamieni i cegły. Dzieci postanowiły zbudować jeszcze murek w koło szkolnego ogródka doświadczalnego. I zabrały się do tego wesoło.

A tymczasem w szkole błoto nie znikło jeszcze zupełnie, ale było go coraz mniej. Dzieci przynosiły je

z drogi na chodnik i gubiły w drodze do drzwi. Ale troszkę zostawało na butach.

Takie uparte było to błoto.

Wreszcie przed każdą klasą położono słomianą wycieraczkę. Dopiero wtedy błoto znikło ze szkoły.

Z końcem kwietnia gospodarze przyszli z pomocą dzieciom. Od szkoły do kościoła ułożono chodnik. A od szkoły do sołtysa będą układać w maju. Będzie wtedy można przejść suchą nogą przez całą wieś.

Jadwiga Morska

Ile mleka daje nam nasza krowa?

Kochani chłopcy i dziewczęta! Przypuszczam że każde z was chętnie pije mleko. Jestem też pewien, że wiecie wszyscy, kto nam daje mleko. Pocziwa krowa. Wasza Łysula, Krasula, Kwiatuła, Kalina albo Wiesioła. Na pewno już zauważyliście, że jedna krowa daje więcej mleka, a inna mniej. A może nawet zastanawialiście się już na tym, dlaczego tak jest. Chcę z wami teraz o tym porozmawiać.

Ilość dawanego przez krowę mleka zależy: po pierwsze od tego, czy krowa jest z natury wydajna i czy jest zdrowa, po drugie od tego, pod jaką jest opieką, a więc od stanu obory, pielęgnacji i jakości pokarmu, jaki dostaje. Bo stare przysłowie mówi: daj krowie w żłobie, to ona da tobie.

Wy, jako młodzi przyszli rolnicy i gospodarze, na pewno rozumiecie już, że im więcej mleka krowa daje, tym lepiej jest dla was i dla waszych braci i siostr w mieście, tym więcej też będzie masła i sera! A więc każdy rozumny gospodarz, który dba o siebie i o swoją rodzinę — a przecież

wy wszyscy chcecie kiedyś zostać takimi rozsądnymi gospodarzami — uczyni co jest w jego mocy, aby mieć jak największy pożytek i korzyść z swego wysiłku.

To, co wam opowiem, będzie jednak tylko wtedy zrozumiałe, gdy wam podam pewne liczby, a więc uważajcie dobrze!

Zwykła krowa daje przy mniej więcej dobrej opiece w ciągu roku 2000—2200 litrów mleka.

Krowa leniwa i źle utrzymana daje o wiele mniej, może dawać rocznie tylko 1000—1200 litrów mleka. Dobrze zaś utrzymana krowa może w ciągu roku dostarczyć 3900 litrów.

Widzicie teraz różnicę?

Gdy przyjrzyście się liczbom i zastanowicie się nad nimi, nie potrzebujecie już tłumaczeń. Gdybym was zapytała, jaką krowę chcielibyście mieć w swej oborze, odpowiedzieliście chórem: oczywiście tę pilną!

Jestem tego samego zdania i radzę wam: gdy już ją mieć będziecie, utrzymujcie ją dobrze i dbajcie o jej zdrowie i czystość.

Mleko, masło, ser,... pieniądze!... Oto będzie wasza nagroda!

Gdy gospodarz kupuje tylko dobre, wydajne krowy, a następnie należy je pielęgnować i karmi, gdy oborę utrzymuje w czystości, gdy dba o paszę i o czystość naczyń do mleka, wtedy sam osiąga z tego największy pożytek. Większy zysk pokryje mu wkrótce nadwyżkę, jaką zapłacił przy nabyciu lepszego zwierzęcia.

Policzcie:

1 zła krowa daje 1200 l mleka w ciągu roku,

12 krów w ciągu trzech lat daje:
 $1200 \times 12 \times 3 = 43200$ litrów.

1 dobra krowa daje 3500 l rocznie
 12 krów w ciągu trzech lat da:
 $3500 \times 12 \times 3 = 126000$ litrów.

A więc dwanaście wydajnych krów daje o 82800 litrów mleka więcej, to znaczy prawie że potrójną ilość.

Policzcie teraz, ile to krów jest w waszej wsi, a potem obliczcie, ile one powinny dawać mleka, gdyby były wszystkie z wydajnych gatunków i należy je pielęgnowane. A tak-

że obliczcie, o ile mniejsza jest wydajność, gdy krowy pochodzą z gorszej rasy, a w dodatku znajdują się pod złą opieką.

Jeżeli zrobiliście to obliczenie, to nie potrzebuję wam już nic więcej tłumaczyć. Sami zrozumiecie, że w własnym interesie każdego rolnika czy też hodowcy jest mieć tylko dobre krowy i odpowiednio się nimi opiekować; przyniesie mu to bowiem solidny zysk.

Poza tym nasi rolnicy mają to udogodnienie, że we wszystkich sprawach, w których się sami nie bardzo orientują mogą zwrócić się do agronoma gminnego o poradę, o dokładne wskazówki, a nawet o pomoc. Agronom gminny ma za zadanie pomagać radą rolnikom, a także o wszystkich poważniejszych kłopotach gospodarczych waszych rodziców powiadamiać okręgowe władze rolne.

Popijając smaczny chlebuś mlekiem pomyślcie, chłopcy i dziewczęta, czasem o tym, cośmy w tej pogadance o mleku i krowie wam opowiedzieli.

M. F.

SZYBKĄ Z OKNA

Ojciec Stasia i Marysi jest szklarzem. Staś też kiedyś będzie szklarzem. Będzie ciął małym diamentem duże szyby, będzie wstawiał okna i oprował obrazy. Tymczasem Staś musi chodzić do szkoły. Dopiero wtedy, kiedy odrobi wszystkie lekcje, może pójść do pracowni tatusia. Staje wtedy przy stole z rączkami założonymi do tyłu i patrzy uważnie.

Tatusz bierze na stół dużą płytę szklaną, odmierza z niej kawałek,

przykłada linię i rysuje diamentem. Potem przesuwa szkło tak, by narysowana kreska wypadła na brzeg stołu, przyciska ręką i trach!... szyba pęka dokładnie wzdłuż kreski

Czasem trzeba znowu wyciąć ze szkła kółko. Wtedy tatuś stawia na szybie duży cyrkiel z gumową przysawką też zakończony małym diamentem. Potem od narysowanego kółka zaznacza jeszcze kreski do brzegu szyby i odłamuje według nich szkło po kawałku. Kiedy szyba nie

chce od razu pęknąć puka w nią lekko od spodu.

Stasio nie może jeszcze ciąć szkła, bo mógłby się pokaleczyć. Ale wolno mu szlifować brzegi wyciętych szybek do obrazów i luster. Nie jest to wcale łatwa praca.

Na grubą płytę szklaną osadzoną w ramach sypie się specjalny proszek, karborund, i zwilża go się wodą. Potem kładzie się ukośnie brzeg szybki i trze dopóty, dopóki nie zniknie zupełnie jeden kant. Najtrudniej jest wyszlifować szybkę tak, by nie zatrzeć rogów, albo ich nie zaokrąglić. Staś ciągle jeszcze nie może tego się nauczyć.

Dzisiaj Staś prędko skończył pisanie swych zadań i pobiegł do pracowni. Tatusz wprawiał właśnie szyby w puste ramy stojące rzędem pod ścianą. Obok niego siedziała na podłodze Marysia i kitowała przybite już szyby. Przykładała do szpary wałeczek kitu i szast! nożem. Od razu powstawał piękny, jasny pasek.

— Tatusiu — zapytał Staś po chwili — czy zawsze były w oknach takie szyby, jak dzisiaj?

— O, nie — odparł ojciec. — Dawniej ludzie zupełnie nie znali szkła.

Staś otworzył szeroko oczy.

— Jakto? Więc z czego pili, kiedy nie było szklanek? I co robili, ażeby w oknie nie było dziury?

Tatusz przybił ostatnią szybę i położył młotek.

— Widzisz, Stasiu, najdawniejsi ludzie zupełnie nie potrzebowali szyb do swych mieszkań. Mieszkali w jaskiniach bez drzwi i okien; dlatego nazywamy ich ludźmi jaskiniowymi. Później, kiedy zaczęli budować sobie chaty, robili w nich tylko otwór wejściowy i otwór w dachu nad paleniskiem, jako ujście dla dymu. W tych prymitywnych chatkach było ciemno i duszno. Z czasem zaczęto robić mniejsze otwory w ścianach. Na noc

zamykano je deską albo zatykano gałęziami. Ale przez te otwarte okna przychodziło do chat zimno. Ludzie zaczęli sobie rozmaicie radzić, ażeby okna zamknąć, a nie zaciemniać ich. Najpierw wynaleźli okiennice, które można było zamykać, kiedy się chciało. Potem zaczęli wprawiać do okien rozciągnięte błony z pęcherzy zwierząt. Wreszcie wynaleźli sposób fabrykacji szkła.

— O, tatusiu, jak się robi szkło, to już ja wiem, bo czytałem opowiadanie o hucie szklanej i widziałem z niej obrazki. Ale, opowiadaj, tatusiu, dalej, jak to było.

— Opowiadają, że sposób fabrykacji szkła odkryto całkiem przypadkowo. Wiele wieków temu kupcy fenicy rozbili obóz na pustyni. Gdy przed odjazdem gasili ognisko, znaleźli w nim wytopioną z piasku bryłkę szkła. Naturalnie wykorzystali swoje odkrycie i zaczęli przetapiać piasek na szkło w większych ilościach. Początkowo robiono ze szkła tylko klejnoty i ozdoby, później zaczęto z niego robić naczynia. Najpóźniej użyto szkła do zasłaniania okien. Najpierw wytapiano z niego kulki, które oprawiano w ołów i umieszczano w oknie. Taka „szyba“ składała się więc z wielu małych kul, zwanych gomółkami. Później dopiero nauczono się robić ze szkła płytki i wstawiać je w ołowiane ramki. Zaczęto wówczas z kolorowych szybek połączonych ołowiem układać piękne obrazy, nazywamy je witrażami. Obecnie witraże są tylko w kościołach, ale dawniej bywały i w zwykłych domach u ludzi bogatych. Najpóźniej zastosowano szkło do wyrobu luster. Dawne lustra były z polerowanego srebra. Naturalnie niewiele było w nich widać, a poza tym były bardzo drogie.

— O, a mnie się zawsze wydawało, że szyba w oknie to taka zwyczajna rzecz! — dziwił się Staś.

W. O.

PINOKIO

(Zakończenie)

Raptem na drodze spotkał starego lisa.

— Dzień dobry Pinokio!

— Skąd wiesz, jak się nazywam?

— Znam twego tatusia od wielu lat.

— A kiedy go widziałeś?

— Nie daleko jak wczoraj, stał przed domem w samej kamizelce i trząsał się z zimna.

— Już mu nie będzie teraz zimno. Dostałem 5 złotych dukatów, biegnę do domu, kupię mu ciepłą kurtkę i za resztę elementarz.

— Po co ci elementarz?

— Chcę się uczyć.

— Spójrz na mnie — powiedział lis. — Z powodu głupiej ochoty do nauki straciłem nogę.

Nagle odezwał się znajomy głos „Mówiącego Świerszcza”:

— Nie słuchaj rady złych towarzyszy, bo cię wyprowadzą na manowce. Biegnij do domu i tak nabroń się dość.

— A może chciałbyś podwoić liczbę dukatów? — spytał lis chytrze zmrużywszy oczy. Może chcesz, żeby z tych marnych kilku dukatów zrobiło się tysiąc, dwa tysiące? Namysł się i w takim razie pójdz ze mną do „Krainy Głuptaków”.

— Chyba pójdz z tobą — powiedział Pinokio.

Szli, szli i po kilku godzinach znaleźli się na wielkim polu.

— Oto jesteśmy na „Cudownym Polu” — powiedział lis. — A teraz rób, co ci powiem. Wyjm swoje dukaty, zrób dołek w ziemi, włóż je i przysyp ziemią. Dobrze. A teraz idź do źródelka, zaczerp trochę wody i podlej. Jutro raniutko na tym samym miejscu wyrośnie wielkie drzewo pokryte złotymi dukatami.

Pinokio usłuchał rady złego towarzysza. Nazajutrz raniutko przybył na „Cudowne Pole”, ale nie zobaczył ani jednego drzewka. Obszedł całe pole nigdzie ani śladu drzewa, a w miejscu, gdzie zakopał dukaty, nie znalazł również dukatów, lecz rozgrzebaną ziemię.

W tej chwili usłyszał śmiech. Rozejrzał się. Nad nim krążyła papuga i śmiała się w głos.

— Czego się śmiejesz?

— Z ciebie, głuptaku, z ciebie, że dałeś się okpić chytremu lisowi i uwierzyłeś mu, że można posiać pieniądze na polu i zebrać je jak fasolę lub zboże. Kiedyś i ja byłam tak głupia, dlatego dziś brak mi najpiękniejszych piór. Dziś wiem już, że jeśli się chce mieć pieniądze trzeba na nie uczciwie zapracować. Lis zabrał ci pieniądze, a teraz „szukaj wiatru w polu”.

Pinokio długo płakał wreszcie podniósł się z ziemi i zaczął iść — jak mu się zdawało — w kierunku domu majstra Marcina. Szedł, szedł, bardzo długo. Miał wiele przygód, ale nareszcie po wielu dniach wrócił do domu.

Drzwi zastał otwarte, ale ojca nie było. Dowiedział się od ludzi, że majster Marcin poszedł na poszukiwanie niedobrego syna aż za morze. W oczekiwaniu na ojca Pinokio, mając szczerzy zamiar poprawić się, zaczął chodzić do szkoły. Uczył się pilnie i był dobrym uczniem.

Pewnego wieczoru Pinokio siedział przed ogniem płonącym w kominku i rzewnie płakał.

— Boże, mój Boże, tak się dobrze uczę, a wciąż jestem kukłą, gdybym był chłopcem, poszedłbym w świat szukać mego ojca.

Nagle odezwał się „Mówiący Świerszcz”:

— Jutro spełni się twoje życzenie, przestaniesz być kukiełką a zmienisz się na dobrego chłopca. Zasłużyłeś sobie na to. Ale nawet gdy będziesz chłopcem, unikaj złych towarzyszy.

Pinokio uradowany wielce zerwał się i pobiegł do swego kolegi, którego nazywano Pętakem. Kolega ten był wielkim ladaco i Pinokio powinien był go unikać, ale lubił go bardzo. Nie zastawszy go w domu wracał już, gdy spotkał go na drodze.

— Przyjdz do mnie jutro, zobaczysz coś bardzo ciekawego — powiedział Pinokio.

— Nie mogę przyjść jutro, bo dziś wyjeżdżam o północy. Jedz ze mną, jeśli chcesz. Pojedziemy do „Krainy Zabawek”.

— Nie pojedę, czeka mnie jutro coś bardzo przyjemnego.

— Jak sobie chcesz, ale pożałujesz tego.

— A co to za kraina? — zaciekawil się Pinokio.

— Tam nie ma szkoły, nie ma nauczycieli, nie ma książek, nie ma lekcji. Zabawa trwa od świtu do nocy. Jedz ze mną.

— Nie pojedę, wrócę do domu.

— To poczekaj, zobaczysz przynajmniej, jak będę odjeżdżał. O północy przyjedzie powóz po mnie i po wielu innych chłopców.

— No, chyba żeby zobaczyć.

O północy zajechał powóz zaprzężony w dwanaście par osłów. Woźnica przynaglał i namawiał opornych do wyjazdu. Pinokio stał opodal.

— No, a ty, chłopcze, nie chcesz pojechać do tego przyjemnego miejsca? — spytał się przymilnie woźnica.

Pinokio jeszcze chwilę walczył z pokusą, ale wkrótce znalazł się w powozie.

O świcie przybyli na miejsce.

„Kraina Zabawek“ nie była podobna do żadnego kraju na świecie. Mieszkańcy składali się z samych chłopców od lat ośmiu do dwunastu. Na ulicach było gwarno, rojno, pełno rozbawionych chłopców, jeżdżących na rowerach, grających w palanta i w rozmaite inne gry. Na wszystkich murach były napisy:

„Niech żyją zabawki“, — „Nie pójdziemy innej do szkoły“. — „Precz z rachunkami“.

Nowoprzybyli natychmiast zostali wciągnięci do zabawy.

— O, jakie piękne to życie — mówił Pinokio do swego przyjaciela, Pętaka.

— Widzisz, miałem rację.

Pięć dni trwało już to „piękne życie“. Aż to pewnego poranku budzi się Pinokio i chce się podrapać w ucho. Jakież było jego zdumienie, gdy stwierdził, że zamiast swego ucha, ma jakieś długie i obrośnięte włosom uszysko.

Pinokio wpadł w rozpacz. Zaczął tłuc głową o ścianę tak mocno, że aż sąsiad jego, usłyszał i zeszedł na dół, żeby się dowiedzieć, co się stało.

— Co się ze mną stało? — wołał zrozpaczony Pinokio.

— Cóż nie jesteś już ani chłopcem, ani kukiełką, tylko osłem. Przejrzyj się.

Pinokio przejrzał się w wiaderku z wodą i zapłakał po osłemu, to jest ryknął.

— Cóż, oto jest nagroda, żeś wzgardził nauką, szkołą i pracą. Wszystkich chłopców czeka tu ten sam los.

Po pewnej chwili wszedł woźnica i zaczął go czesać zgrzeblem, aż grzbiet osła zalsnił jak lustro. Potem założył mu uździenicę i poprowadził na targ, żeby go sprzedać wraz z kilkoma jeszcze osłami, którzy z chłopców zamienili się na osły. Jednych kupowano do ciągnięcia wózków, innych do ogrodu, gdzie mieli wozić ziemię, a Pinokia kupił właściciel cyrku. Zaprowadzono go do stajni i dano mu siana.

Po kilku tygodniach ciężkiej nauki przy pomocy bata, osiołek miał pierwszy raz w cyrk wystąpić. Był bardzo markotny, pomimo to, że ustroili go pięknie, zapletli mu ogon w warkoczyki, przewiązali je kolorowymi wstążeczkami, a koło uszu zatknęli mu dwa tulipany. Przedstawienie rozpoczęło się. Osiołek galopował po arenie, kłaniał się, ale kiedy mu dyrektor kazał skakać przez obręcz, zawadził nogą i upadł. Wynieśli go z areny. Okazało się, że ma zwichniętą nogę.

— Cóż ja będę robić z kulawym osłem? — rzekł właściciel cyrku i kazał go sprzedać.

— Będę miał dobrą skórę na bęben — powiedział nowonabywca. Zaprowadził go na wysoką skałę, przywiązał mu powróż do nogi i zrzucił go do morza. Po pewnej chwili z wody wyłynęła drewniana kukła zamiast osła.

— A to co? — zawołał człowiek.

— Odwiąż powróż, a powiem ci.

Człowiek wyciągnął i odwiązał go ze sznura.

— Otóż, kiedy wrzuciłeś mnie do wody, rzuciły się na mnie ryby i skrętnie objadły moją osłą skórę. Jestem znów kukiełką. Poczciwe rybki.

Powiedziawszy to Pinokio wykręcił się i skoczył do wody. Płynął, płynął aż znalazł się u przeciwległego brzegu morza. Niedaleko od brzegu zobaczył namiot, zbudowany z gałęzi. W namiocie leżał stary człowiek i ledwo dyszał. Pinokio poznał swego ojca.

— Ojczulku, ojczulku — zawołał Pinokio, rzucając mu się na szyję. — Skąd się tu wziąłeś, ojczulku?

— Szukałem cię po całym świecie, przepłynąłem morze, ale czołno mi zatoneło. Wyczerpany jestem, jak widzisz i głodny — opowiadał stary słabym głosem.

Już cię teraz nie opuszczę, ojczulku. Będę dobrym synem. Wrócimy do naszego domku.

— Ale jakim sposobem? Ja pływać nie umiem.

— Siądź mi na ramionach, przecież mocne mam ramiona, przepłynę z tobą.

Ale kiedy weszli na brzeg, okazało się, że staruszek jest tak wycieńczony, że nie może iść dalej. Raptem zobaczyli piękny szałas.

— Czyj to szałas?

— Rozgość się, Pinokiu, i utóż ojca na świeżutkim sianie — odezwał się znajomy głos „Mówiącego Świerszczu“. Ten szałas jest pod moją pieczę. Zostańcie w nim, dopóki ojciec nie nabierze sił.

— O, mój drogi, dobry świerszczu! — zawołał Pinokio.

Ułożył ojca na sianie i wyszedł na poszukiwanie mleka dla ojca. Zaszedł na najbliższą fermę.

— Ile ci potrzeba mleka? — spytał gospodarz.

— Pół litra mleka dla mojego chorego ojca.

— Pół litra mleka kosztuje 50 groszy.

— Kiedy ja nie mam ani grosza — powiedział Pinokio.

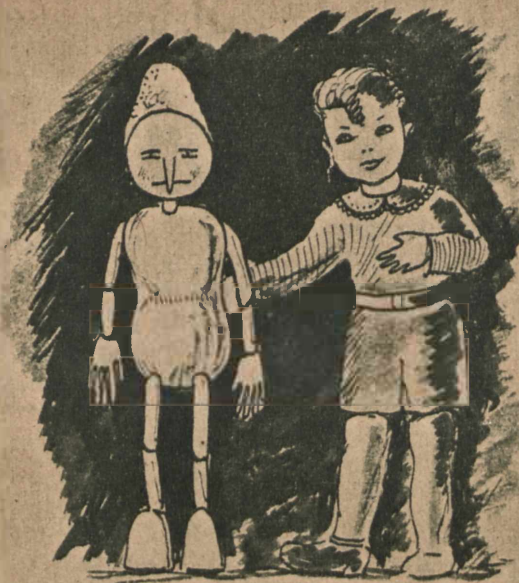
— To źle — powiedział gospodarz. — Skoro nie masz ani grosza, to ja nie mam ani odrobiny mleka. Ale poczekaj. Jest na to sposób. Wyciągnij mi ze studni pięć wiader wody, a ja ci dam za to pół litra mleka.

To rzekłszy, zaprowadził go do ogrodu i pokazał, jak się czerpie wodę. Była to bardzo

ciężka praca, ponad siły biednej kukielki, ale Pinokio zaciął zęby i powiedział sobie: „to dla mojego biednego ojca, któremu tyle zgrzyzoł sprawilem i tyle jestem winien”. Odtąd wyciągał codziennie 5 wiader wody i zanosił ojcu mleko tak ciężko zapracowane.

Przez pięć miesięcy trwała ta praca. Prócz tego Pinokio nauczył się pleść kosze z wikliny i w ten sposób zarabiał na utrzymanie ojca i siebie, a wieczorami uczył się pisać i czytać.

Pewnego poranku obudził się o świcie i zobaczył, że nie jest już kukłą drewnianą tylko bardzo mile wyglądającym chłopcem. Zamiast szałasów znajdował się w pięknym pokoju. Miał na sobie ładne ubranko, a włożywszy ręce do kieszeni, zna-



lazł w niej 5 dukatów i list, który potrafił już sam przeczytać:

„Zasłużyłeś na to, żeby ci wybaczyć wszystkie winy. Stajesz się prawdziwym chłopcem. Jest to twoja zasługa”.

Pinokio myślał, że to sen i zawołał:

— Gdzie mój tatuś!

Przez otwarte drzwi do drugiego pokoju zobaczył ojca, majstrującego przy swoim ulubionym warsztacie.

— A gdzie jest stary Pinokio? —

— Oto jest — i ojciec wskazał na leżącą na krześle kukłę z głową, ramionami i

nogami zwieszonymi nieruchomo.

Smieszny byłem jako marionetka! O, jakże się cieszę, że jestem już przyzwoitym chłopcem!

Wg. C. Collodiego opracowała R. Zawistowska

WALOSKOWE SZCZĘŚCIE

Było to dawno, bardzo dawno temu. Zwierzyniec był wtedy jeszcze wsią podkrakowską. W małej chatce niedaleko klasztoru Norbertanek mieszkała biedna kobiecina.

Była wdową i ciężko musiała pracować, aby utrzymać siebie i syna Waloska. Chatka, którą odnajmowała od sąsiada, była bardzo mała. Miała tylko jedną izdebkę, komórkę i przytulony do niej chlewik. Przed domkiem był ogrodzony płotem ogródek, długi na 3 metry. Kobiecina kochała zwierzęta i chociaż sama ze synem nie wiele miała do jedzenia, trzymała małego psa Kruczka, kotkę Burusię, świnkę i trzy kokoszki.

Było to jej gospodarstwo.

Walosek pragnął się uczyć i matka chętnie zapisała go od Nowego Roku jako żaczka do przykościelnej szkoły św. Barbary, ale cóż, Walosek musiał jej pomagać w domu, zwłaszcza teraz, kiedy nie była zdrowa.

Bieda wciskała się do małego domku i wreszcie w połowie lutego, kiedy kobieta położyła się do łóżka, pokazało się, że w domu nie ma ani grosza, ani kawałka chleba, ani drzewa do podpałki.

Mróż chwycił tak silny, że musieli wziąć świnkę do izby, bo chybaby zmarzła w chlewiku. Kury już dawno siedziały pod piecem. Kruczek spał koło łóżka, a Burusia z kociętami w koszyczku na piecu.

W dzień św. Walentego matka dźwignęła się z łóżka i rzekła do Waloska:

— Słuchaj, Walosku, dziś twoje imieniny. Obiecałam, że zrobię ci pierogi ze serem, a tymczasem nie tylko pierogów, ale nawet chleba nie mamy. Moje ty biedne dziecko. Cóż my zrobimy? Wszystko głodne, w izbie zimno, a ja jeszcze do tego choruję.

Walosek zerwał się z łóżka i zaczął się ubierać.

— Nie martwcie się, matuś. Pójdę do Marcina, może ma dla mnie jakąś robotę. Da mi naprzód parę groszy, to kupię chleba dla nas, a ziemniaków dla świnki. Uzbieram jeszcze trochę patyków.

— Burusi trzeba by trochę mleka, bo ona ma przecież małe kotki. Boże, Boże, jacy my biedni.

Walosek zbierał się szybko, włożył stary wytarty kożuszek, czapkę barankową po ojcu i wybiegł z domu.

— Zmarzniesz, synku, zmarzniesz — biadała matka.

Ale Walosek już nie słyszał. Ruszył rażno przed siebie. Płakać mu się chciało, bo wiedział, że nie ma roboty dla niego u Marcina. Matce tylko tak powiedział, żeby ją pocieszyć, ale teraz sam nie wiedział, co począć. Szedł, a mróz skrzypiał pod nogami, wiatr dął od Wisły i śnieg prosił mu w oczy.

Już doszedł prawie do jeziora „Żabim Krukiem” zwanego, które na Groblach z Wisłą się łączyło, kiedy posłyszał krzyki i zobaczył kilku chłopaków biegnących brzegiem, a przed nimi pomykało coś ciemnego po śniegu. W pierwszej chwili zdawało mu się, że to kot, ale kiedy zwierzątko umęczone dobiegało krzaczka, poznał, że to była wiewiórka. Skulona przypadła do ziemi, a wtedy grad kul śniegowych i kamyków posypał się za nią.

— Łapać! Już teraz nie ucieknie! — wołali chłopcy.

— Dawać ją tu!

— Czeka! Już my cię nie puścimy!

Walosek przystanął i patrzył, jak nieszczęśliwe zwierzątko ledwie żywe ze strachu, siedzi skulone i patrzy przerażonymi oczkami na chłopców. Wreszcie nie namyślając się długo skoczył naprzód, złapał wiewiórkę i ukrył ją pod kożuszkim. Cała gromada chłopców rzuciła się na niego, ale on, nie czekając, zaczął biec co sił przed siebie. Chłopcy za nim, a on w stronę Wawelu. Już zdawało się, że go dogonią, ale Walosek umiał biegać. Wytężył wszystkie siły i wpadł do sieni wysokiej gotyckiej kamienicy i przez podwórze dotarł do jakiejś szopy. Tutaj ukrył się i usłyszał, jak wrzeszcząca gromada wpadła za nim na podwórzec, ale zgubiwszy jego ślad chłopcy rozbiegli się na wszystkie strony. W tej chwili z bocznych drzwi wybiegł odźwierny i jak nie krzyknie:

— A wy, co tu robicie! Wynosić mi się precz gałgany, huncwoty; jak wezmę miotłę, to wam pokażę, co to znaczy takie urządzać brewerie!

Walosek pogłaskał wiewiórkę, bo serce zwierzątka biło tak bardzo, że obawiał się, aby mu nie pękło. Kiedy je tak trzymał, zobaczył, że ma na nóżce obrączkę, na której jest coś napisane. Ale Walosek czytać nie umiał.

Kiedy więc krzyki ucichły, ostrożnie wysunął się z bramy i widząc jakiegoś jegomościa przystąpił do niego i zapytał:

— Proszę waćpana, co ta wiewiórka ma napisane na tym krążku?

Jegomość przyglądał się obrączce i rzekł:

— Napisane tu jest: ul. Kanonicza 6. To pewnie ta wiewiórka, co zginęła księdzu kanonikowi Dołędze. Już od tygodnia rozbijają się za nią.

Walosek podziękował i ruszył na Kanoniczą. Zaraz na początku ulicy zobaczył nad bramą wrytą w kamieniu złotą szóstkę w czarnej obwódce. Pociągnął za rączkę od dzwonka i za chwilę brama się otwarła, a w niej ukazał się odźwierny i okazała jejmość.

— Czego chcesz chłopcze?

— Przynoszę wiewiórkę — mówiąc to odchylił płaszcz.

— Dyc to nasza Baśka! A to się ksiądz kanonik ucieszy.

— Chodźże, chodź! — wołała jejmość i pociągnęła Waloska za sobą. Za chwilę stanął chłopiec przed księdzem kanonikiem Wawrzyńcem Dołęgą.

— Toś ty Basię przyniósł? — ucieszył się ksiądz kanonik. — Myślałem, że już przepadła.

Wiewiórka, gdy posłyszała głos swojego pana, jednym susem rzuciła się naprzód, a potem wdrapała się po sutannie i — ukryła się w szerokim rękawie księdza kanonika.

— Moja Basia, moja... Już nie będziesz więcej uciekała, psotnico. A teraz opowiedz, chłopcze, gdzie ją znalazł.

Walosek opowiedział wszystko. To, że szedł za robotą, bo matka chora, i to, jak się nazywa, i wiele innych rzeczy, a ksiądz kanonik pogłaskał go po głowie i wyjmując sakiewkę rzekł:

— Masz tu Walosku. Będziecie mieli na jakiś czas, a potem już ja się zajmę wami i poślę cię do szkoły. A pani, jejmość Katarzyna, daj temu chłopcu trochę prowiantów i placka ze serem.

— To za twoje dobre serce — dodał. — Pamiętaj, że kto ma serce dla drugich, może się spodziewać, że i bliźni będą je mieli dla niego.

M. Zagórska

Jak kraj długi...

Jak kraj długi z każdej strony —
skrzypią pługi, skrzypią brony!

A nad skibą, a nad rolą,
nad tą szarą ludzką dolą —

skowroneczki przez dzień cały
wydzwanają swe hejnały!...

E. K.

CHUSTECZKA DO NOSA



Z kawałków niepotrzebnego płótna, basty lub nansuku możemy zrobić chusteczki do nosa. Materiał doprowadzamy do formy kwadratu lub prostokąta i po wykonaniu ozdoby brzeg chusteczki dziergamy, obszywamy koronką lub zaginamy na trzy milimetry, potem na pięć milimetrów, fastrygujemy i w rękę podszywamy szwem tzw. obrębkowym.

Ozdobić chusteczkę możemy w rozmaity

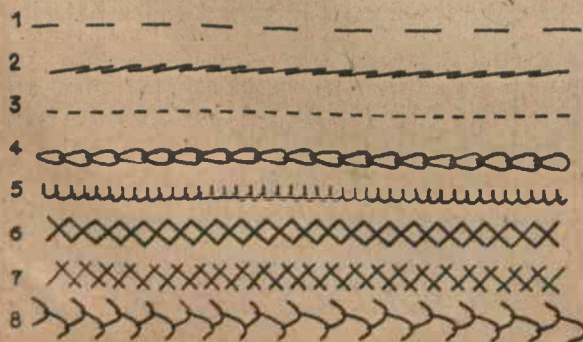
sposób, np. ściegami i kolorową nitką lub mereżką.

Znacie zapewne ściegi zasadnicze? Popatrzcie na rys. 2.

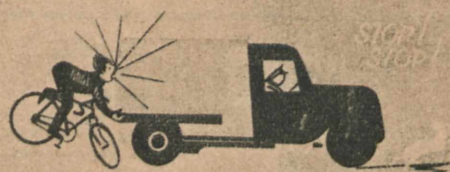
1. ścieg przed igłą
2. ścieg za igłą, czyli sznureczek
3. ścieg maszynowy, czyli stebnowka
4. ścieg łańcuszkowy
5. ścieg dziergany
6. ścieg krzyżykowy
7. ścieg krzyżowany
8. ścieg gałązkowy

Chusteczkę możemy także ozdobić kolorową nitką (chusteczki 3, 4). Z jednego końca materiału wyciągamy dwie nitki, a trzecią, środkową nadciągamy i przywiązujemy do niej koniec kolorowej nitki, następnie z drugiego końca delikatnie wciągamy nitkę materiałową, przewlekając tym samym przywiązaną do niej kolorową nitkę. W tym wypadku materiał musi mieć niteczki mocne, żeby się w środku któraś nie przerwała.

Rys. 1 i 2 przedstawia chusteczki wykonane ściegami.



RYS. 2.



NIE CZEPIAJ SIĘ POJAZDÓW



Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków, Poststr. 1. Redakcja „Steru”.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Uniwersytetstr. 19a. Administracja „Steru”, tel. 104-04.

Jeden nr „Steru” kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.

Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.